

Poranne wyjście z łóżka jest jak narodziny. Można wstać na dwa sposoby. Obydwa poprzedza jednak coś, co w kościele nazywa się podniesieniem. Celebруюcy dzisiaj liturgię, nie ma ustalonych reguł, kto to akurat jest, składa i bierze ciało nasze, które za innych będzie wydane, i krew naszą, która za was i za wielu będzie wylana, i podnosi ku górze, dokonując przemiany.

Może to zrobić powoli. Najpierw z martwych powstaje ciężki od snu odwłok, ręka za ręką, noga za nogą, w końcu głowa, w końcu reszta ciała wychodzi, zbiera się w sobie, znajduje gdzieś dość siły, żeby jednak te oczy otworzyć. Chociaż może powinny otwierać się najpierw. Odwłok wyznaje jednak zasadę, że najpierw dobre, a potem złe wieści, nigdy odwrotnie, nie daj bóg, jakkolwiek, żeby świętą kolejność odwracać.

Czyli powoli, zgodnie ze sztuką, z zachowaniem powagi chwili oraz porannej błogosławionej ciszy, wzbogaconej tylko dalekim szumem miasta, które już nie śpi, ale jeszcze się do końca nie obudziło.

Jest też druga metoda, bardziej brutalna. Kapłana nie interesuje wtedy celebrowanie, chodzi tylko o to, żeby sprawę załatwić jak najszybciej. Kluczem do sukcesu jest wystrzelenie ciała, najlepiej od razu w ubraniach, z umyętymi zębami, po prysznicu, z pełnym brzuchem i, co najlepsze w tym wszystkim, wypitą kawą, herbatą, zależnie od preferencji, bądź z wypitymi oboma naraz. Przecież zgodnie ze świętą zasadą, co nie jest zabronione, jest dozwolone. Tak mawiają nasze klechy, a ponoć znają się na rzeczy.

Są jeszcze brednie o łyku porannej kawy, delikatnie muskającym duszę, czy to, że kawa zawsze idzie w parze z papierosem. Ale o tym nie warto nawet myśleć. Kończy się ceremonia. Jeśli kapłan odprowadzał mszę jak należy, wymagana jest jeszcze komunika. Trzeba przyjąć papierosy, prochy, xanaxy, setalofty, rutinascorbiny, syropki, koniecznie przed tym wypić przynajmniej litr wody, dogryźć awokado opadłym o wschodzie słońca na zachodzie Kolumbii z dojrzewającym bardzo powoli mango i perfekcyjnie zblanszowanym naleśnikiem. Przy drugim sposobie komunika jest zbędna i można od razu wychodzić, wszak ciało przygotowało się szybciej niż umysł zdążył pomyśleć.

Na początku, przed liturgią, są zapachy. Można powiedzieć, że na początku były zapachy, a zapachy były u człowieka i człowiekiem były zapachy. Z pomiętej pościeli, z materaca i spod kołdry wylazą nocne upiory. Wonie ciężkie, zawiesiste, jak zupy, przygotowywane przez niezbyt wprawną kucharkę.

Poranny zapach, jak i całe życie, ma charakter mocno przelotny: wystarczy tylko trochę się postarać, trochę poudawać, umyć to i owo, nałożyć co trzeba i gdzie trzeba i proszę, ciało w ogóle nie wygląda na ruinę i gdyby nie drobne przeoczenia, możnaby go jeszcze używać przez dobrych sto lat.

Dopiero wyjście z domu staje się orgią dla powonienia, ekstazą rzęsek w nosie. Wiele zależy od pory dnia, pory roku, pogody, stanu ducha...

W autobusie czuć kortyzolem, adrenaliną i noradrenaliną. Kto jedzie? Ci objuczeni plecakami i workami, w których mieszają się ze sobą śmierdzące tenisówki, wyprany ostatnio miesiąc temu dres i powyciągana, żółta pod pachami biała koszulka. Oni zostaną odpytani, ustawieni, upokorzeni, umundurowani i poníženi, bo znów są tacy odlegli, że już sami nie wiedzą, czy to Francja z Niemcami, a może jednak z Włochami. I gdzie ta Rosja leży, chociaż pominąć jej nie sposób, bo przecież taka duża, i wołami wykalgrowane na tej mapie: R O S J A. Albo jeszcze szerzej, wiele zależy od skali. Wiedzą już, że są jak

ciasto: do ugniatania, wałkowania, formowania, wykrawania odpowiednich wzorów. A wyjdą z tego nie-dopiecheni, wtedy bez wyrzutów sumienia wyrzuci się ich do kosza. Może nielicznym uda się odpowiednio urosnąć, wtedy zasila rzesze tych drugih, jeszcze bardziej złomnych od siebie.

To ci, którzy na plecach czują bat kierownika, pejcz dyrektorki, do nich, ale do tych pierwszych trochę też, chociaż oni są nieco mniej wyrobieni, należy jeszcze zapach gówna, bo z każdą minutą spóźnienia rośnie wielka sraczka. Z każdą sekundą jest ich jakby mniej w tej pracy, aż w końcu całkiem znikną, rozplyną się, jak te poranne zapachy. Zostawia tym pierwszym to, czego sami w życiu nie dokończyli: niespłacone kredyty, dusze zaprzędane za kilkaset tysięcy, które teraz trzeba wykupić z tej niewoli. Trzeba tylko uważać, żeby nie skupować dusz martwych. Chociaż, ponoć, niektórym przyniosło to wymierne zyski. Ale i tak nędznie skończyli.

Jedni i drudzy poniosą pochodnie, jak na prawdziwym parteitagu. Wzniesione ręce, twarze pełne modlitwy, niemej bądź głośniejsze: to wódz wylądował i trzeba go przywitać. A później stadion. Mrok, rozświetlany tylko płonącymi żagwiami, bębny, hałas, równe szeregi, przystojni, wysportowani chłopcy, uczesani na jedną stronę, obowiązkowo identycznie ubrani, jak ze wzorca, z matrycy, opuszczane i unoszone chorągwie. Wódz to lubi, wodza trzeba zaspokoić, bo wódz jest dobry i da nam wszystko, czego zapagniemy. I powie to, co chcemy usłyszeć.

Ale jeszcze nie czas. Na razie jedni pojedą do szkoły, drudzy do pracy.

Mieszają się zapachy, mieszają się żywota, wszyscy są umarli, każdy ze swoim długim zapachowym, który zaciąga u innych i którego nigdy nie spłaci, bo w jaki sposób? Zapach raczej nie przestanie mu towarzyszyć, pobrane od innych kredyty będą się dzień w dzień waloryzować, bez końca.

U innych, tych bardziej rozluźnionych - tylko z pozoru - pracują gruczoły ekrynowe w skórze. Jedzie facet, lekko tłusty. Spojrzenie mu pod pachę to zajrzenie w jego intymność. Te kłaki spod pachy kiedyś wyjdą, uwolnią się spod rękawa koszulki i zaczną żyć własnym życiem. Oplotą pozostałych pasażerów, zaczną ich dusić, albo, co gorsza, wyszarpywać im trzewia, wysysać mózgi. Cały ten facet jest kudłaty, pełen włosów, włosy otaczają go jak mędrca z gór. Późny czerwiec, późna wiosna, właściwie lata już początek, lato skrapla się na jego włosach i skórze, lato w postaci wilgotnych plam na plecach i brzuchu.

Jak tu żyć, kiedy ludzka pacha przypomina skłębiony żywot, skomplikowane życie? W tym mikroświecie jest wszystko: nasz duży świat cały, ziemia cała i wszyscy jej mieszkańcy, z ich mniejszymi bądź większymi problemami, wielkimi gonitwami i małymi pościgami. Kotłująca się biologia, mikroskopijne pociny żerujące na włoskach, które za nic i przenigdy nie poznają swojego mocodawcy. I chlebowodawcy.

Jeździ się na mokro, kiedy pada, i na sucho, kiedy słońce. Ci susi są najgorsi. U nich nic się nie kłębi, nic nie żyje, jakby oni sami nie żyli. Albo mieli coś do ukrycia, coś, co schowane tak głęboko za pustynną tarczą, że nikt nie jest w stanie przez nią przejść i zajrzeć w ich środki.

Wysiadka z autobusu, chwila na tak zwanym powietrzu i przeskok do tramwaju. A w tym tak zwanym powietrzu, niby jednorodnym, znacznie więcej. Zimą w płuca i nozdrza wdzierają się pył węglowy i spaliny, nisko zawieszone nad centrum. Latem z kolei chodniki, nasiąkłe plamami rozlanego alkoholu. Chodnik najpierw polewa się wodą, później sypie chlorem i innymi środkami wywabiającymi z kruszywa brud i smród, później znów polewa wodą. To wszystko razem daje specyficzną woń nasienia.

W średniowieczu głęboko wierzano, że w spermie żyją małe istoty, do złudzenia przypominające

człowieka, ale wielokrotnie od niego mniejsze. Proces dorastania ma rozciągać kończyny, ale czysto fizyczna ich postać nie ulega zmianie. Teraz wrażenie deptania po małych ludziach jest wręcz nieodzowne. Kręcą się gdzieś tam pod nogami, mają swoje sprawy, sprawki, zagonieni, zalatani, zadowoleni z siebie, z pełnymi albo pustymi brzuchami, piękni, brzydzy, grubi, młodzi, starzy, chudzi. Krok za krokiem, chrupnięcie za chrupnięciem, jedno ludzkie ciało za drugim, czaszka za czaszką.

Poranna podróż do pracy, ile to zapachów! Ale trzeba wyjść, wyrwać się, ulecieć poza zapachy i dalej przyglądać człowiekowi w ulotnym trwaniu jego

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Woland, dodano 22.01.2023 11:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.